№ 10 Rok XXI.

Dnia 26 Lutego (10 Marca) 1900 r.

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

St. Kramsztyk.

OGIEŃ ZE SŁOŃCA.

Gdy dawni przodkowie nasi palili drzewa swych lasów, wierzyli, że zwracają słońcu ogień, który od niego otrzymali.

Był czas, gdy człowiek pierwotny nie umiał jeszcze ognia krzesać, gdy nie znał go wcale. Trudno dziś wyobrazić sobie, jak nędzny wiódł żywot. Nagi, narażony był na chłody nocy i zimy; zgłodniały, żywił się jedynie korzonkami roślin dzikich i ich owocami cierpkiemi; bezbronny, stawał się pastwą zwierząt drapieżnych, od niego silniejszych i bardziej rączych.

Piorun, może inny przypadek, wzniecił pożar lasu. W obec tak nowego a groźnego zjawiska, człowiek uciekł strwożony. Ogień taki wybuchał nieraz, człowiek zwolna z nim się oswoił, poznał, że niszczący ten żywioł może stać się i dobroczynnym, odważył się ująć głownię rozpaloną, przeniósł ją do swych siedlisk, umieścił obok swych jaskiń i lepianek, w których przebywał. Rozpalać ognia zapewne długo jeszcze nie umiał, strzegł więc ogniska i baczył pilnie, by nie wygasło.

Skoro panem ognia stał się człowiek, wzmógł swą potęgę i warunki bytu swego poprawił. Mógł się rozgrzać i strawę zgotować; zapory ognistej zwierz dziki przekroczyć nie zdołał, za tą osłoną płomienną człowiek czuł się już bezpiecznym od napaści tygrysa lub wilka. Potem nauczył się w ogniu wypalać naczynia gliniane, a z rud z ziemi dobywanych, nauczył się metale wytapiać. Wtedy uzbroił się w oręż żelazny, pokonał zwierzęta dzikie, oswoił je, uczynił z nich sprzymierzeńców swoich, pomocników w swych pracach, życie stało się dogodniejsze i spokojniejsze, zwolna rozwijała się cywilizacya.

Ogień dobroczynny wydawał mu się pochodzenia boskiego. Według mitologii greckiej pierwsze żarzewie ognia pochwycił bogom z Olimpu Prometeusz i na ziemię sprowadził, a za podstępną tę kradzież przez mściwego Jowisza przykuty został do skał Kaukazu, gdzie sęp olbrzymi bezustannie serce mu szarpie.

Łatwo rzeczywiście wzbudzić się mogła wiara, że ogień z nieba pochodzi. Codziennie przecież po sklepieniu niebieskiem przesuwa się od wschodu ku zachodowi ognista bryła słoneczna, darząca nas światłem i ciepłem; ogień ziemski wydał się człowiekowi odblaskiem tej promienistej gwiazdy dziennej, iskrą od niej oderwaną, jakby ze słoń-

Do pow. Testament Dziwaka.

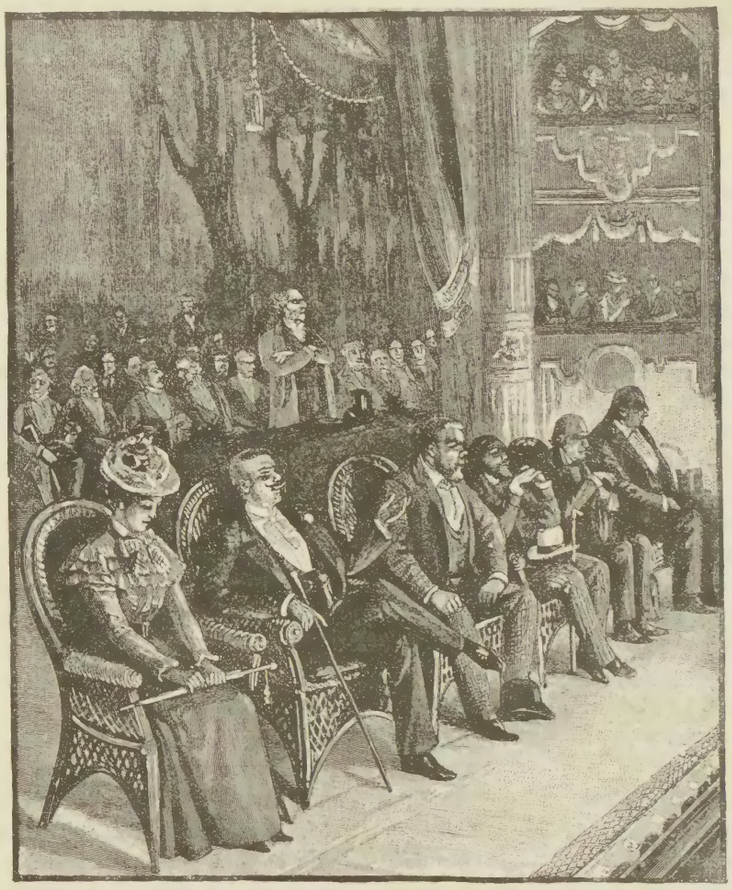

Odczytanie testamentu „Sześciu" siedziało w jednym szeregu...

ca był zrodzony. — Naiwnem i dziwnem jest dla nas dziś takie pojęcie ludów pierwotnych. Jakżeż może płomień na ziemi wzniecony pochodzić od słońca, które przecież mieści się w olbrzymiej od nas odległości dwudziestu milionów mil geograficznych, w jakiż sposób mogłaby przestrzeń tę przebiedz iskra przez słońce odrzucona?

Nauka jednak dzisiejsza nie potępia tej baśni ludowej, przyznaje, że kryje się w niej jądro rzetelne, a owe narody dawne miały jakby przeczucie prawdy, gdy ogień ze słońca wyprowadzały, choć sobie z tego sprawy nie zdawały jeszcze. Czego wówczas nie pojmowano, umiemy teraz jasno wytłomaczyć.

Odłamek drewna, który w piecu naszym płonie, jest szczątkiem drzewa, które niegdyś żyło i które wyrosło z drobnego nasienia. W nasieniu tem, jak to widzimy w ziarnku grochu lub żyta, mieścił się drobny zasób pokarmu na pierwsze potrzeby młodej, kiełkującej rośliny, gdy jeszcze samodzielnie utrzymywać swego bytu nie mogła. Skoro jednak kiełek swój wynurzyła nad powierzchnię ziemi i na świat wyjrzała, zabrakło już zasobów odżywczych w nasieniu, sama zdobywać sobie musiała pokarm, czerpać go z łona ziemi i otaczającego powietrza.

Drzewo z różnych składa się materyałów, ale nie trzeba być nawet chemikiem, by poznać, że przedewszystkiem zbudowane jest z węgla. Gdy drzewo się wyżarzy, gdy spłonie niezupełnie, to zostaje po niem bryła węgla; węgiel ten zawierać się musiał przeto w drzewie, choć w połączeniu z innemi jego pierwiastkami ukrywał czarną swą barwę i inne swe właściwości, a ukazał się dopiero, gdy ze związków tych się oswobodził.

Główną więc częścią składową drzewa i każdej w ogólności rośliny, choć tak pięknie i rozmaicie zabarwionej, jest węgiel. Skądżeż zdobywało go drzewo za życia, skąd brało ten materyał, tak do budowy jego tkanek niezbędny?

Znaleźć go mogło w powietrzu jedynie. Powietrze nie jest wprawdzie obładowane sadzą, czarnym pyłem węglowym, ale unosi się w niem kwas węglany, jako ciało lotne, jako gaz przez nas nie dostrzegany, nie wyróżnia się bowiem zgoła od reszty powietrza, od innych, składających je gazów. Jestto ten sam gaz, który z szumem wyrywa się z wody sodowej, z wina szampańskiego, z kredy polanej octem lub innym kwasem. Nazywamy go kwasem węglanym, bo rzeczywiście zawiera w sobie węgiel, jest związkiem węgla z tlenem, z gazem, który obficie znajduje się w powietrzu. Kwas węglany w drobnej tylko ilości występuje w atmosferze, gdyby go bowiem było więcej, nie mogliby żyć ludzie, ani zwierzęta, gdyż jest on dla nich zabójczym. Wystarcza on jednak dla roślin, które go w atmosferze wyszukać umieją, i z niego to zdobywają węgiel, by go sobie przyswajać i na swą korzyść obracać. Węgiel ten wszakże w powietrzu, jak powiedzieliśmy, nie jest bynajmniej swobodny, jest związany, złączony z tlenem; aby go posiąść, musi roślina każdą, najdrobniejszą cząsteczkę kwasu węglanego rozdzielić, rozerwać, pokonać musi ścisły związek węgla z tlenem. Wymaga to przecież wysilenia, pracy; któż więc moc taką daje roślinie, kto jej daje tę dzielność, tę energię do wykonywania pracy tak wielkiej?

Roślina żyć może tylko w blasku światła dziennego. Gdy jej blasku tego poskąpimy, gdy ją umieścimy w ciemnicy, dokąd promienie słoneczne przedrzeć się nie mogą, roślina więdnie, liście jej żółkną, tkanki jej stają się wiotkie i słabe, a cała roślina rychło obumiera. Promienie słońca niezbędne są do życia rośliny; w cieple tylko słonecznem rozwija się i wzrasta, ono to daje jej zdolność do pracy, ono to raczej pracuje w roślinie i z kwasu węglanego wyrywa węgiel, z którego roślina tworzy włókna swe i komórki, rozwija się i wzrasta.

Gdy tu mówimy, że ciepło pracuje, nie wyda się to zapewne dziwactwem temu, kto jeździł koleją, lub fabrykę jakąkolwiek zwiedzał. Będziecie twierdzili, że to para wozy żelazne ciągnie i olbrzymie koła obraca, ale przecież, by parę otrzymać, potrzeba ognia, ciepła. Machiny parowe pracują kosztem ciepła, albo raczej ciepło wykonywa prace, do jakich je człowiek znagla.

W roślinach podobnież pracuje ciepło słoneczne. Roślina żywi się i byt swój utrzymuje kosztem ciepła słonecznego, rozwija się i wzrasta nakładem promieni słońca, jego energii promienistej. Ta praca słońca nie niszczy się wszakże, nie zużywa bezpowrotnie, ale pozostaje jakby utajona, przechowana i zaoszczędzona w drzewie, w tkankach rośliny. Odradza się znowu jako ciepło, gdy drzewo palimy.

Palenie drzewa jestto bowiem działanie wręcz przeciwne temu, co miało miejsce, gdy drzewo to wzrastało. Wtedy kwas węglany rozrywał się na składowe swe części, na tlen i węgiel; teraz zaś, gdy drzewo płonie, węgiel jego łączy się z tlenem i powstaje znowu kwas węglany, który z dymem uchodzi w powietrze i nowym pokoleniom roślin pożywienie dawać będzie. Ile się ciepła słonecznego zużyło na wytworzenie węgla w roślinie, tyleż teraz wzbudza się ciepła, gdy węgiel ten płonie, gdy łączy się z tlenem powietrza; przy tem przeobrażeniu więc ciepło słoneczne nie zginęło bynajmniej, odradza się w zupełności, odnajdujemy je w naszych ogniskach. Ciepło, które nas w zimie ogrzewa, zawdzięczamy więc słońcu; ogień na kominku naszym płonący, rzeczywiście ze słońca się zrodził. Legenda ludów pierwotnych rzeczywistością się staje.

Gdy, zamiast drzewa, piece nasze węglem kamiennym opalamy, i w tym jeszcze razie z ciepła słonecznego korzystamy. Węgiel kamienny bowiem, w łonie ziemi złożony, powstał ze szczątków drzew, które niegdyś żyły na ziemi, w czasach nader dawnych, gdy jeszcze człowieka na ziemi nie było, gdy nie żyły nawet jeszcze zwierzęta ssące i ptaki, zaledwie gady snuły się na lądzie, a w morzach ryby, od dzisiejszych różne, pływały. Drzewa także były odmienne, paprocie i skrzypy drzewiaste, drzewa iglaste, jakie dziś już nie istnieją. Drzewa te żyły, rosły i zamierały, liście ich, gałęzie i łodygi butwiały zwolna, tworzyły torfowiska, jak to i teraz jeszcze dzieje się na gruntach bagnistych. Ciągnęło się to przez długie okresy czasu, nieraz morze zalewało odwieczne te lasy, gdy grunt się obniżał, a gdy ląd znów się wznosił, morze ustępowało, ale lasy i torfowiska, które dawniej powierzchnię ziemi zalegały, znajdowały się już pod przytłaczającemi ją osadami, które z wód morskich opadały. Pod tym naciskiem torfowiska ulegały dalszym zmianom, torf przeobrażał się zwolna w węgiel brunatny, a ten w dalszym ciągu, po długich wiekach, zamieniał się w bryły węgla kamiennego. Gdy dziś czarne te bryły z głębi ziemi dobywamy i w piecach naszych palimy, odzyskujemy ciepło, które słońce nadsyłało ziemi w epoce niesłychanie dawnej

przed setkami tysięcy lat zapewne. Odradza się ciepło, które przez tak długi ciąg wieków w utajeniu pozostawało.

Wszelki więc ogień, jaki na ziemi rozpalić umiemy, ze słońca swój początek bierze.

Człowiek pierwotny przeczuwał, czego jeszcze nie pojmował dokładnie.

Jak w tej, tak w wielu innych baśniach ludowych mieści się często ukryte jądro prawdy, które nauka stara się odsłonić i wyjaśnić.

Zofia Urbanowska.

RÓŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— Zgoda, zgoda — zawołano chórem, a panna Katarzyna z wdzięcznością uścisnęła rękę Jakóba.

— Troszczyłam się o moje dzieci, mówiłam sobie: co za bieda, że nie mają z kim chodzić! A tu Opatrzność nam ciebie zesłała. Jakiż Kubuś dobry!

— A ja będę oglądała jeziora, wodospady i przepaście! — wołała dziewczynka, skacząc z radości. — Będę widziała jaskinie, w których kryli się rozbójnicy! A może my i skarby zbójeckie znajdziemy?

— Jest! i tej się już skarbów zachciewa — powiedziała, śmiejąc się babunia Kasia.

Ganek, przy którym rozmawiający siedzieli, obsadzony był chmielem; w ogródku rosły cztery jesiony i dwie małe limby, a pod płotem był zagonek kartofli. Gaździna przyszła je okopać, a zobaczywszy swych gości na ganku, skinęła im głową uprzejmie, mówiąc:

— Dzień dobry: fałaz Panu Jezusowi, Matce Boskiej co nom dali piknom pogode. Jakoz wom się tu u nas spodobało?

— O, bardzo nam się podoba! — odpowiedziała Marysia.

— Fała Panu Jezusowi. Spało wom się dobrze?

Tu panna Katarzyna nie mogła wytrzymać i opowiedziała nocne przygody z łóżkiem.

Gaździna, kobieta już niemłoda, ale zdrowa, rumiana, z twarzą okrągłą i bystrym wyrazem niewielkich siwych oczu, słuchała uważnie; a gdy babunia Kasia skończyła, uśmiechnęła się sprytnie mrugnąwszy okiem i rzekła:

— Dobrzeście zrobili: fała Panu Jezusowi!

I wziąwszy motykę pochyliła się nad zagonem kartofli.

Cała dolina kąpała się w słońcu. Pełno osób wyległo na spacer, bo jak po piasku morskim suchą chodzi się nogą tam gdzie przed chwilą lizały go fale, tak w Zakopanem, po największej ulewie iść można na spacer bez kaloszy, zwłaszcza pod górę, bo woda przepada gdzieś między kamieniami i żwirem.

V.

Portret bez rysów.

Panna Katarzyna zrazu wymawiała się od wycieczek w góry, utrzymując, że wystarczy jej patrzeć na nie z Zakopanego. Ale od czasu gdy pan Jakób zaprowadził całą rodzinę na Gubałówkę, wygodną, łatwą drożyną, gdzie staruszka mogła co chwila odpoczywać na trawie w cieniu drzew — i ztamtąd pokazał jej całe Tatry w chwili, gdy zachód słońca malował je na różowo, tak została oczarowana tym widokiem, że sama zapragnęła obejrzeć Kościeliską dolinę, o której słyszała, że jest perłą Tatr najpiękniejszą, i że do niej wózkiem wygodnie dojechać można.

Wyruszono więc o dziesiątej rano przy pięknej pogodzie. Gdy minęli stary drewniany kościołek, przysadzistą staroświecką dzwonnicę i wjechali w ulicę Kościeliską, Marysia, widująca dotąd tylko chaty pojedyńczo rozrzucone, wydziwić się nie mogła wielkiej ich tutaj ilości; kształty ich oryginalne uderzały ją więcej teraz, gdy je widziała nagromadzone jedne przy drugich.

— Babuniu, to jak miasto! — wołała — a jakie śmieszne te domki! Dachy jakby śpiczaste kapelusze obszyte sztywnemi, szeroko rozpiętemi falbankami.

— A to, wicie, na to, coby wom na nos nie padało, kie wyjdziecie z ganecka pozierać [1]) — wtrącił Jasiek woźnica.

Skończyło się Zakopane: droga wieszała się na stokach tak stromych, że panna Katarzyna aż zasłaniała oczy, lub załamując ręce, wołała:

— Kubusiu, toś nas wywiódł nad przepaście! A biedne dzieci! Matko Ostrobramska, ratuj! Ostatnia godzina? Kubusiu, trzymaj Marysię!...

Wózek góralski.

— Nie bójcie się — mówił Jasiek — ja amujem. [2])

I w jednej chwili zniknął jak kamfora, co zwiększyło jeszcze niepokój panny Katarzyny, lecz wnet ukazała się znowu figlarna twarz Jaśka.

— Jescek śmierci nie widział — żartował niecnota — nie idzie po was, to se i nie bójcie. Wie dalii! [3]) Wiśt, [4]) wiśta siwy! Pokasze pani, jako ją grzecnie powieziesz.

I raźno odskakując od licznych kamieni, wesoło potoczył się wózek na samo dno mniemanej przepaści.

— To wjazd do Małej Łąki — objaśnił Jakób — już nie będzie równie stromej góry.

— Czy pojedziemy przez Małą Łąkę? — spytała Marysia.

— O, nie, ona zostaje na lewo: innym razem ją zobaczymy, jeżeli babunia jeszcze zechce.

Panna Katarzyna wkrótce się udobruchała. Tymczasem wjechano na prześliczną drogę pod Reglami, mając po jednej stronie faliste łąki gęsto przetykane kwieciem i lasy świerkowe, przy których od czasu do czasu stały na straży rozłożyste jesiony i buki posiwiałe, a po drugiej rozległe na stokach wyrębiska, młodą i jasną zdaleka błyszczące zielenią. Wyrastało tam bujnie młode pokolenie, w miejsce tego które padło pod toporem, a pomiędzy niem czernice, poziomki, maliny, wonne trawy i turzyce, Storczyki, Mleczaje, Chabry górskie i moc różnobarwnego kwiecia. W próchniejących pniach żyły liczne gatunki paproci — a tu i owdzie, poprzypinane do gruntu długiemi, pierzasto wycinanemi liśćmi,

[1]) Spoglądać. [2]) Hamuję. [3]) Wio dalej. [4]) Na lewo.

błyszczały jak gwiazdy, złociste, różowe i białe, Kąsiny nizkie. Kwiat ten dziwny, otulony w srebrzystą okrywą, rozstrzępioną nakształt licznych słomianych ździebełek, uchodził niegdyś za cudowne lekarstwo: ztąd lud dawał mu nazwę: „Dziewięć sił."

Pomiędzy kamieniami jaśniały białe Dziewięciorniki, złote Jastruny, Wieczerniki damskie o kwiatach jaskrawych, i wonne fiołkowe Miesięcznice — a nad tem wszystkiem panowała wszechwładnie Wierzbówka wązkolistna. Różowe jej bukiety na wysokich łodyżkach tak się tam bujnie rozrastają, że zagłuszają wszystkie inne rośliny. Całe stoki bywają od niej różowe, jakby się w brzasku jutrzenki kąpały.

Do hist. środków komunikacyi z N-ru. 9-go.

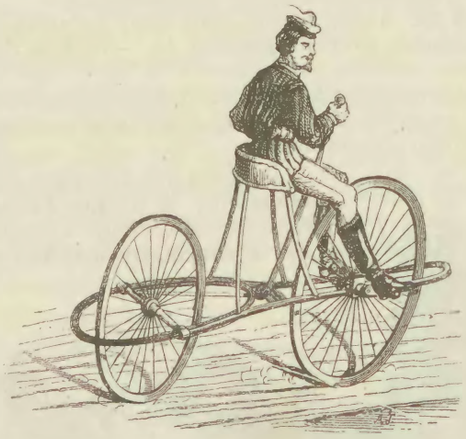

Welocyped rakieta.

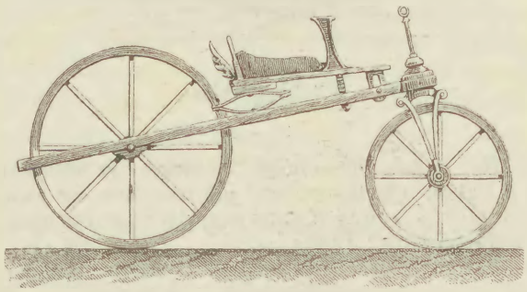

Celerifer (pierwotny welocyped).

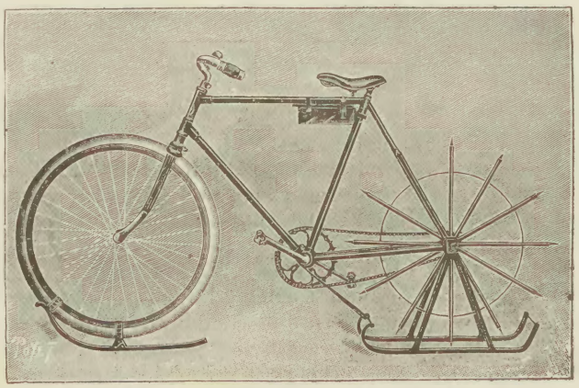

Najnowszy rower na saniach. Tylne koło ostremi szprychami uderza w śnieg lub lód i popycha maszynę, przednie koło na jednej płozie służy, jako kierownik.

Wrażliwą dziewczynkę tak zachwycił ten widok, że aż na bladą jej twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Różowa góra przypomniała jej bajki o złotych pałacach, koralowych dachach i różnych cudownościach. Pan Jakób odezwał się, że kupcy handlujący herbatą zrobiliby tu dobry interes.

— Cóż te kwiaty mogą mieć za związek z herbatą? — zapytała panna Katarzyna.

— Używane są do fałszowania — odrzekł. — Wązkie, ząbkowane liście Wierzbówki, podobne są z kształtu i barwy do liści krzewu herbatniego. Otóż listki te poddane takiej samej czynności, jak liście herbaty, naśladują je do złudzenia: zwijają się w dłoniach, suszą, i po ususzeniu mięszają z herbatą prawdziwą. Wprawne tylko oko dostrzeże zafałszowanie.

Marysia zaczęła prosić, żeby wóz przystanął, bo chciała urwać sobie trochę kwiatów, ale góral sprzeciwił się temu, mówiąc:

— Trza nam się spieszyć, coby my zaś z deszczem nie wracali.

— Co mówicie o deszczu, przy takiej pięknej pogodzie! — obruszyła się panna Katarzyna.

— Ale Babia góra w czepcu — odrzekł, wskazując biczyskiem na zachód, gdzie widniało pasmo Beskidów i szczyt, który mgły owijały.

— Może też słońce zdejmie ten czepiec — pocieszał doktór — poco się martwić zawczasu? Mam nadzieję, że dolina Kościeliska pokaże nam się w całej swej krasie, choć nie jest to zupełnie bezzasadne co mówi nasz woźnica. Górale mają dwa barometry rzadko ich zawodzące: Babią górę i Gewont.

— Czy te różowe kwiaty, z których się robi herbata, rosną tylko w górach? — zapytała Marysia.

— O, nie, to nie są kwiaty wyłącznie górskie; można je często spotkać na równinach.

— A ja ich nigdy nie widziałam!

— Bo tam rosną pojedyńczo, więc nikt nie zwraca na nie uwagi, a tutaj występują w całej masie, więc biją w oczy zdaleka.

Wóz to spuszczał się na dół, to wspinał do góry, a woźnica szedł przy nim, rozmawiając z końmi i hamując koła wedle potrzeby. W wozie także rozmawiano wesoło, a staruszka patrząc na rozpromienione twarze dzieci, wdzięczną była z całego serca doktorowi, że ją do tej wycieczki nakłonił. Wreszcie po godzinie zjechano na łąkę około tartaka, przy której stoi chatka gajowego.

— Jak się zwie ta polanka? — spytał Henryk.

— Kiry.

Panna Katarzyna przeżegnała się.

— Jezus Marya! — zawołała — czyż jedziemy w krainę żałoby! Kiry strzegą drogi do Kościelisk...

— Niech się pani uspokoi — rzekł, uśmiechając się doktór — nic niema żałobnego w tej krainie, zwłaszcza w takim dniu słonecznym jak dzisiejszy.

— A nawet — upierała się staruszka — te stoki gór ciemnym lasem porosłe, wyglądają doprawdy, jak kiry.

Jasiek zatrzymał konie i podbiegł ku skale, której kawałek odłupawszy siekierką, przyniósł Marysi, mówiąc:

— Niech se sowajom. [1])

— Co to takiego? — zawołała dziewczynka ze zdziwieniem, przypatrując się niespodzianemu podarunkowi, podczas gdy wóz ruszył dalej.

— To je jarec — objaśnił Jasiek.

— Coś jakby skamieniałe zboże — zauważył Henryk.

— Podobne do ziarn jęczmienia — dodała panna Katarzyna [2]).

— Bo też jęczmień po góralsku zwie się jarcem—rzekł doktór — opowiadają nawet legendę, skąd się tu wziął, ale to nic nie ma wspólnego ze zbożem. Ziarnka te, są to mu-

[1]) Schowają. [2]) Patrz str. 78.

szelki skamieniałe, w których niegdyś mieszkały drobne żyjątka. Gromadziły się tu powoli całe ich pokolenia i powstała stąd skała. Mineralogia zwie takie skały wapienne numulitowemi.

— Kiedyż to było, panie Jakóbie? — spytał chłopiec.

— Bardzo dawno, jeszcze przed stworzeniem człowieka, w owych czasach zamierzchłych o których mówi Pismo Święte: „I duch Boży unosił się nad wodami.” Tatry były wtedy łożyskiem oceanu.

— Ale nie wszystkie skały powstały z takiego jęczmienia?

— Nie: wiele jest pochodzenia ogniowego, znów inne składają się z tak drobniutkich skorupek zwierzęcych, że dojrzeć ich nie można bez mikroskopu, a wszystko to żyło niegdyś w wodzie. Zwolna dopiero morze ustępować zaczęło, a z głębi wód wynurzały się różne pokłady, poosadzane przedtem na dnach morskich. W wielu miejscach na ziemi tym sposobem powstały całe łańcuchy gór i wielkie obszary lądów.

— Nie może mi się to w głowie pomieścić, jak uczeni mogą wiedzieć, co się działo przed stworzeniem człowieka— powiedziała panna Katarzyna, wzruszając lekko ramionami. — A co się kiedyś stanie, czy także wiedzą?

— Z tego co było i jest, wnoszą o tem co będzie.

— A czy Anglik znajdzie różę bez kolców? — zapytała Marysia.

— Skoro uczeni wszystko wiedzą, to może nam pan odpowie na to pytanie — wtrącił z uśmiechem Henryk, nie chcąc się przyznać, że sam różę bez kolców ciągle miał na myśli, i że jej wzdłuż drogi, którą przebywali, upatrywał.

Panna Katarzyna zwróciła na Jakóba oczy z wyrazem oczekiwania, bo i ją także interesował cudzoziemiec.

— Sądzę, że znajdzie czego szuka — odrzekł poważnie.

Odpowiedź ta choć niezupełnie jasna, zadowolniła wszystkich.

Przejechawszy od tej skały kawałek drogi wśród lasu, wóz dotarł pierwszej bramy Kościeliskiej z olbrzymich skał utworzonej, gdzie Towarzystwo Tatrzańskie umieściło

Wieczernik damski, *Hesperis.*

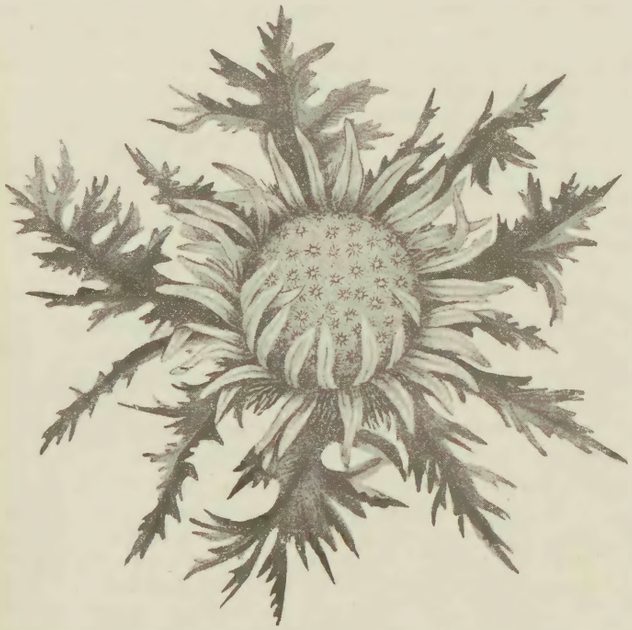

Kęsina nizka *Carlina acaulis.*

Wierzbówka wąskolistna *Epilobium.*

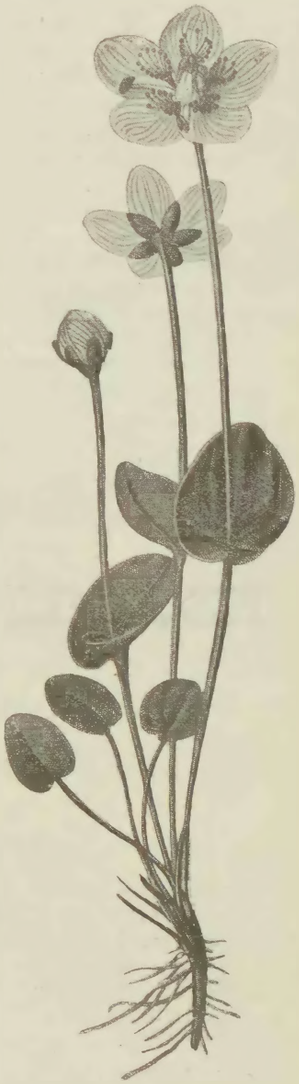

Dziewięciornik, *Parnassia.*

tablicę, poświęconą pamięci posła Kantaka, który w Berlinie w obec Niemców dzielnie się za ludnością polską ujmował. Widok od tej bramy dawał już niejakie pojęcie o tem, czego się po za nią spodziewać było można, i dzieci wydawały okrzyki zachwytu i radości, ale pan Jakób mitygował je, mówiąc, że dalej będzie jeszcze piękniej, więc trzeba żeby byli oszczędniejsi w uniesieniach.

Numulity.

Wody uchodzą stamtąd z szumem wielkim, a nad potokiem jest droga usłana z głazów. Po tej drodze wóz przejechał na rozległą polanę, otoczoną dokoła lasem, ponad którym wyzierają olbrzymie turnie — i minąwszy pasterskie szałasy, posuwał się obok rozpadających się w gruzy budynków. Tu były dawniej kuźnie obrabiające żelazo i huty przerabiające rudę dobywaną w Kościeliskach. Gdy się wierzchnie pokłady wyczerpały, zaniechano głębszego kopania, jako nieopłacającego się.

Tutaj zwracają uwagę podróżnych stare lipy, osobliwość botaniczna, bo lipa nie zwykła rosnąć na takiej wysokości.

— Niegdyś było tu gwarno i ludno; teraz jest cisza i pustka — odezwał się doktór — a na gruzach budynków mech porasta. Zakopane takie dziś głośne ze swych własności uzdrawiających, wtedy było nieznaną wioszczyną. Jest tu w lesie kapliczka postawiona na miejscu dawnego kościołka, który dla całej dalekiej okolicy podtatrzańskiej był jedyną świątynią Bożą.

— Więc Zakopane nie miało kościoła? — spytała panna Katarzyna.

(d. c. n.)

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład **M. D.**

(Dalszy ciąg).

Uznanie dla testatora było od tej chwili bezpodzielne. Pan Tornbrock czytał dalej:

„Kwestyę, który mianowicie z pięćdziesięciu naszych Stanów najstosowniej było powtórzyć owe czternaście razy, rozstrzygnąłem bez trudu. Bo czyliż mogłem wybrać inną ziemię, jeśli nie tę, której bogate łąki zraszają wody Michiganu, która słusznie jest dumną z takiego jak nasz grodu, tej ziemi, zwanej Królową zachodu,—tego Illinois szczodrze wyposażonego przez naturę, mającego z północy wielkie jezioro Michigan, od południa rzekę Ohio, od zachodu Missisipi, a Wabach od strony wschodniej; krainy słynnej z bogactw, jakie daje ląd i woda; krainy stojącej w pierwszym rzędzie naszej zjednoczonej rzeczypospolitej..."

Nowy grzmot oklasków i nowe przeciągłe „hura," wstrząsnęły gmachem teatru i odbiły się echem wśród zebranych na ulicy tłumów.

Gdy nareszcie zapanowała znów cisza, rejent Tornbrock mógł czytać dalej.

„Pozostawało mi jeszcze tylko wybrać partnerów do tej wielkiej gry, jaka ma być rozegraną na olbrzymim terytoryum naszego państwa, tak jak to szczegółowo wskaże znajdująca się w tej kopercie, a ułożona przezemnie mapa, która niechaj zostanie wydaną w tysiącach egzemplarzy, aby kto tylko zechce mógł śledzić poruszenia grających.

Wybór partnerów zdałem losowi, uważając ten sposób za najlepszy, a wybrani ci, w liczbie sześciu, powinni się w tej chwili znajdować na scenie Auditoryum.

Obowiązkiem ich będzie przenosić się osobiście nietylko do tego Stanu, jaki każdemu przeznaczy ilość punktów rzuconych kości, ale nawet do miejscowości wskazanej przez wykonawcę mego testamentu, w czem się zastosuje do załączonych poniżej wskazówek."

A więc taką była rola przeznaczona dla „sześciu" Niby żywe piony poruszane kaprysem losu mieli oni na tej olbrzymiej szachownicy Zjednoczonej rzeczypospolitej, odegrać jakąś nieprawdopodobną partyę...

Jeżeli Tom Crabe nie rozumiał nic zgoła, jaką właściwie myśl miał William I. Hypperbone, współpartnerzy jego pojęli ją od razu, a zgromadzona publiczność poczęła już spoglądać na nich jako na istoty wyjątkowe, postawione nieledwie ponad wszystkich śmiertelników. Ze wzrastającem też ciągle zainteresowaniem słuchano następnych rozporządzeń zmarłego.

„Życzę sobie „pisał on w dalszym ciągu" aby we dwa tygodnie po odczytaniu mego testamentu, rejent Tornbrock w obecności członków Klubu Dziwaków, zgromadzonych w tejże sali Auditoryum, rzucił własnoręcznie po raz pierwszy załączone tu kości i czynność tę powtarzał następnie co dwa dni, przesyłając telegraficzne zawiadomienie pod adresem tego z partnerów, któremu z kolei przypadnie zmienić wskazane grą miejsce pobytu.

Depeszę tę adresat obowiązany jest odebrać własnoręcznie tegoż dnia o 12 godzinie w południe, pod karą zupełnego usunięcia z gry.

„Zważywszy obecną łatwość i szybkość komunikacyi po ziemiach Zjednoczonych Stanów, poza granicę których żadnemu z „sześciu" również pod karą wykluczenia nie jest wolno w tym czasie wyjechać, uznałem, że dwa tygodnie wystarczą na każde przenoszenie się z miejsca na miejsce, choćby nawet dane miejscowości leżały od siebie jaknajdalej."

A więc jeżeli wszyscy „wybrani" zgodzą się przyjąć przedstawioną sobie rolę wraz z obowiązującemi zastrzeżeniami, czyim właściwie kosztem odbywać mają te szalone podróże?,..

Pytanie to rozstrzyga testator w słowach, które rejent czyta wśród głębokiej ciszy:

„Każdy z partnerów obowiązany jest przenosić się własnym kosztem z jednej przedziałki do drugiej, czyli z jednego Stanu do drugiego, jak również z własnej kieszeni wnosić przypadające nań opłaty. Pojedyńczą opłatę oznaczam w sumie tysiąca dolarów; w razie nie uiszczenia takowej, grający traci prawo do dalszej gry."

— Tysięc dolarów toż to nie drobnostka! A gdyby też przy możliwem braku szczęścia wypadło ponieść taką stratę razy kilka—pomyślał z przerażeniem Herman Titbury, a brzydkie wykrzywienie jego twarzy znalazło odpowiedź w czerwonem jak burak obliczu jego małżonki.

Ale Titbury mają bądź co bądź z czego czerpać, podczas gdy innym wydatek takich kilku tysięcy dolarów może przedstawić wiele trudności i narazić na przykre następ-

stwa. Bo chociażby skorzystali z pożyczki, która im prawdopodobnie przedstawioną zostanie przez spekulantów, na jakich nie zbywa w wolnej Ameryce, to któż zaręczy, czy ostatecznie będą mieli czem dług ten spłacić.

„Majątek mój" czytał dalej rejent „umieszczony w nieruchomościach, placach, bankach, akcyach fabrycznych i kolejach żelaznych, których dowody złożone są w ręku pana Tornbrocka, szacuję na sześćdziesiąt milionów dolarów..."

Szmer zadowolenia przebiegł po sali. Odczuwano niejako wdzięczność i uznanie dla zmarłego za to, że zostawił tak znaczne kapitały, których cyfra nawet w tym kraju Gouldów, Bennetów, Huthinsonów, Van der Biltów, Priorów, Hatty Greenów wreszcie May Geclet, królowej wychowawczyń i uczennic, oraz tylu innych miliardowiczów, królów cukru, zboża, mąki, nafty, kolei żelaznych, miedzi, srebra i złota!.. miała swoje znaczenie.

I czyliż ten, albo ci z „sześciu," którym ów majątek przypadnie nie otrzymają dosyć, by się czuć zadowolonymi..? Ale w jakich właściwie warunkach będzie on im przyznany?...

Na pytanie to odpowiada testator w słowach:

„Wiadomo, że w szlachetnej grze „gęsi" wygrywającym jest ten, który pierwszy przybywa do sześćdziesiątej trzeciej przedziałki."

Trzeba wszakże, aby ostatnie rzucenie kości wskazało tylko taką liczbę punktów, jakiej właśnie jeszcze brakuje, w razie bowiem gdyby ich było zawiele, grający cofa się o tyle przedziałek, ile ma zbytecznych punktów.

„Zatem stosownie do tej zasady spadkobiercą całego mojego majątku będzie ten z partnerów, który pierwszy dojdzie do sześćdziesiątej trzeciej przedziałki, czyli do sześćdziesiątego trzeciego Stanu, którym na mej mapie jest... Illinois.

— A więc tylko jeden, jedyny wygrywający!... I nic zupełnie jego partnerom po tylu trudach podróży, tylu wzruszeniach, tylu poniesionych wydatkach? — wołano w teatrze.

Nie! Jeszcze o drugim wspomina testament:

„Ten, który przy końcu partyi będzie się znajdował najbliżej sześćdziesiątej trzeciej przedziałki" czyta pan Tornbrock „otrzyma owe tysiące dolarów, składane na ręce mego rejenta, jako opłaty w ciągu całej gry, a które zależnie od fantazyi losu mogą stanowić ostatecznie nawet znaczny kapitał."

Dopisek ten słuchacze przyjęli dość obojętnie, taki czy inny przyjęty być musi.

Ale William I. Hypperbone dodaje jeszcze:

„Jeżeliby dla jakiegokolwiek powodu jeden albo więcej partnerów usunęło się od gry przed jej zakończeniem, niezależnie od tego będzie ona graną przez tych, którzy w niej pozostali nadal. Gdyby zaś wszyscy ją opuścili, majątek mój cały przekazuję miastu Chicago, jako legalnemu memu spadkobiercy, z zaleceniem, aby użyty został dla dobra ogółu.

Ostatecznie testament kończył się temi słowy:

„Taką jest wyraźnie wypowiedziana wola moja, nad której wykonaniem czuwać będą: Jerzy B. Higginbotham, prezes Klubu Dziwaków, wraz z rejentem Tornbrockiem.

Żądam, aby wszystkie pomieszczone tu paragrafy wykonane zostały z największą ścisłością, jak również wszystkie zasady gry gęsi, po Zjednoczonych Stanach Ameryki.

Pozostaje mi tylko wyrazić życzenie, aby Bóg pokierował grą, i dał wygranę najgodniejszemu z powołanych partnerów."

Nowe „hura" przyjęło ten zwrot testatora do Opatrzności, poczem zebrana w teatrze publiczność gotowała się do rozejścia, gdy Tornbrock energicznym ruchem ręki nakazał spokój, dodając:

— Jest jeszcze dopisek!...

Dopisek?... Cóż w nim takiego?... Czyliżby cały tak sztucznie obmyślany testament miał być jednym zamachem unicestwiony?... A może — toż wszystkiego po takim dziwaku spodziewać się można, może tym dopiskiem przyzna się do jedynie mistyfikacyi, w którą miał fantazyę zabawić się chwilowo...

Tymczasem notaryusz czytał:

„Do sześciu partnerów wskazanych losem, przyłączony zostaje siódmy z mego wyboru, który figurując na liście pod literami X. K. Z. używać będzie praw swych współzawodników i tymże samym regułom poddać się jest obowiązany.

Imię zaś i nazwisko jego wtenczas tylko zostanie odkryte, jeżeli posłuży mu szczęście i wygra partyę. W ciągu gry wszelkie zawiadomienia przesyłane mu będą tylko pod załączonym inicyałem.

Taką jest moja wola ostatnią."

Dopisek ten wydał się wszystkim bardzo dziwnym.

— Oczywiście kryje się tu jakaś tajemnica — ale jaka?...

— Na cóż się przyda długie rozmyślanie! Któżby zdołał zgłębić dziwaczne pomysły oryginała? — powtarzano wśród publiczności, opuszczającej tłumnie salę teatru Audidotoryum.

Gra w „Stany Zjednoczone."

Wieczorne numera dzienników dnia tego i ranne następnego, rozkupione zostały w podwójnej, a nawet potrójnej cenie. Wprost wyrywano je przekupniom. Bo jeżeli ośm tysięcy osób zgromadzonych w teatrze mogło słyszeć odczytanie testamentu, to setki tysięcy w samem Chicago, a całe miliony we wszystkich Stanach, również pożerani ciekawością nie mieli tego szczęścia.

Ale w miarę jak obszerne artykuły, interwiewy, i reporterskie wiadomości udzielały upragnionych szczegółów i objaśnień, poczęto znowu niecierpliwie dopytywać, kiedy ukaże się do nabycia reprodukcya mapy ułożonej przez Williama I Hyperbona, wedle wzoru prastarej gry „gęsi."

Wszyscy żądali jaknajprędzej dowiedzieć się w jakim porządku zacny członek Klubu dziwaków rozmieścił w przedziałkach wszystkie pięćdziesiąt Stanów wolnej rzeczypospolitej. Które z nich wskazywały na opóźnienie, na areszt dłuższy lub krótszy, na cofanie się wstecz, na nowe rozpoczęcie gry, wreszcie na owe opłaty pojedyńcze, podwójne i potrójne?...

A jeżeli wyrozumiemy tę ciekawość ogółu, o ile słuszniejszą była ona u „sześciu," którym przecież najwięcej zależy otrzymać jakąś pewność pod tym względem.

(d. c. n.)

Siostra Pascala.

Z życia niezwykłych dzieci.

Pokazują jeszcze w Clermont, w środkowej Francyi, dom, gdzie się urodził w r. 1623 Pascal, wielki matematyk i filozof francuski i jego dwie siostry. Mały Błażej, który później okrył sławą nazwisko Pascalów, przyszedł na świat jako bardzo słabe i wątłe dziecko. Gdy miał rok zaledwie, zachorował tak ciężko, że już zwątpiono o jego życiu. Ale modlitwy i troskliwość matki uratowały go.

Dziecko przyszło do siebie i rozwijało się bardzo szybko. Jego siostra *Jacqueline* (Jakobina) była równie jak on nad wiek rozwinięta. Dzieci te były do siebie podobne; dziewczynka miała to samo czoło wysokie, oczy błyszczące i dumny wyraz twarzy.

Kiedy *Jacqueline* miała lat ośm, a Błażejek dziesięć,

zwracali ogólną uwagę swą urodą, ale jeszcze większy zachwyt budziły ich niezwykłe zdolności

Młody Pascal miał szczególne zamiłowanie do nauk ścisłych i prosił ojca, aby go wtajemniczył w te zasady matematyki, które budziły jego ciekawość. Ale ojciec odmówił mu, bo obawiał się, że chłopiec zaniedba inne nauki, zwłaszcza języki starożytne.

Wówczas młody Pascal zaczął sam rozmyślać nad tą nauką. W godzinach rekreacyi zamykał się w ustronnej salce i tam z ołówkiem w ręku rysował na ścianie figury geometryczne i dochodził sam ich różnych właściwości. Pewnego razu zastał go ojciec przy tem zajęciu. Widok ten wzruszył go niemal do łez. Od tego dnia nie sprzeciwiał się jego zamiłowaniu i pozwolił mu brać udział w uczonych zgromadzeniach, które się u niego co tydzień odbywały.

Jacqueline lubiła także rozmyślać w samotności. Była to urodzona poetka, jak nasza Urszulka Kochanowska. Od siódmego roku życia mówiła wierszami. Gdy Gilberta jej starsza siostra, która dzieciom matkę zastępowała, chciała ją uczyć czytać, dziewczynka oparła się temu i uciekała od lekcyi. Pewnego dnia usłyszała, jak siostra czyta głośno poezye. Zachwycona niemi, powiedziała „Jeżeli: chcesz, abym czytała, to każ mi czytać wiersze.” Od tego dnia mówiła zawsze wierszami, uczyła się ich z łatwością, a gdy poznała zasady poetyki, zaczęła układać wiersze. Miała wtenczas lat ośm.

Ojciec tych genialnych dzieci przeniósł się do Paryża, aby im dać staranne wychowanie. Jacqueline zaprzyjaźniła się tam z dwoma dziewczynkami, które równie jak ona miały zdolności do poezyi. Raz panienki postanowiły napisać komedyę. Była to sztuka w pięciu aktach. Grały ją z pomocą innych równie młodych artystek i artystów. Zebrało się liczne grono słuchaczy, którzy dziwili się, że dzieci w tym wieku potrafiły podobną rzecz napisać.

Były tam bardzo ładne ustępy. Na dworze królewskim, w mieście całem, mówiono dużo o tem, a dziesięcioletnia *Jacquelina* zasłynęła jako poetka.

Królowa Anna zwana Austryaczką, matka Ludwika XIV, zapragnęła ją poznać. Pani de Montargis, przyjaciółka ich rodziny podjęła się wprowadzenia Jacqueliny na dwór królowej.

Kareta królowej zawiozła panią de Montargis i jej małą towarzyszkę do pałacu w Saint-Germain. Zaprowadzono dziewczynkę do gabinetu królowej, gdzie było zebrane liczne towarzystwo. Królowa przyjęła ją dobrotliwie i przeczytała wierszyki na jej cześć ułożone. Ale zdawało jej się, że tak młode dziecko nie mogło bez cudzej pomocy tych wierszy napisać. Wszyscy obecni byli tego samego zdania. Wtenczas jedna z księżniczek zbliżyła się do Jacqueliny i rzekła.

— Jeżeli takie ładne wiersze piszesz, to ułóż także coś dla mnie.

Jacqueline usunęła się na chwilę w głąb pokoju i po kilku minutach powiedziała bardzo ładny wierszyk.

Królowa i wszystkie damy dworu biły brawo. Od tego czasu siostrzyczkę Pascala często powoływano na dwór, gdzie ją wszyscy pieścili, król, królowa i księżniczki.

Szczególnie zachwycała w niej swoboda i naiwność dziecięca. Ze swemi towarzyszkami bawiła się we wszystkie gry dziecięce, a gdy była samą, lubiła bawić się lalkami.

Pomimo powodzenia Jacqueliny u dworu, pomimo geniuszu jej brata, który był już sławnym i o którego znajomość ubiegali się wielcy panowie i książęta, ojciec ich o mało co nie został zamknięty w Bastylii (słynne więzienie stanu w Paryżu) przez kardynała Richelieu, pierwszego ministra; zdołał jednak ukryć się zawczasu.

Kardynał Richelieu lubił często dawać przedstawienia w swoim pałacu. Księżniczka d'Aiguillon, siostrzenica jego, zajmowała się urządzaniem tych przedstawień. W lutym roku 1637 urządziła przedstawienie dziecinne. Miano grać tragi-komedyę panny de Scudéry. Księżniczka przypomniała sobie Jacquelinę, jej przyjaciółki i młodego Pascala. Ale Gilberte, starsza ich siostra, która czuwała nad rodzeństwem w nieobecności ojca, odpowiedziała z godnością dworzaninowi, przysłanemu w tej sprawie.

— Kardynał za dużo nam robi przykrości, aby nasze dzieci miały go bawić.

Księżniczka nalegała i kazała nawet powiedzieć, że ułaskawienie ojca od tego zależeć może. Wobec tego przyjaciele i znajomi rodziny postanowili, że Jacquelina przyjmie rolę w sztuce. Sławny aktor Montdory dawał jej lekcye. Nadszedł dzień przedstawienia. Jacquelina, która miała zaledwie dwanaście lat, grała tak ślicznie, że oczarowała wszystkich obecnych, a przedewszystkiem kardynała. Skorzystała więc ze swego powodzenia, aby uzyskać ułaskawienie ojca. Stefan Pascal wrócił do Paryża ze swemi dziećmi, przedstawił się kardynałowi, który go przyjął bardzo łaskawie.

— Znam pana zasługi — rzekł mu — i zwracam go rodzinie. Chciałbym, aby te dzieci sławą nazwisko pana okryły.

We dwa lata później ojciec Pascal został mianowany burmistrzem w Rouen gdzie też zamieszkał ze swoją rodziną. Jacquelina otrzymała nagrodę, udzielaną co rok w Rouen w święto Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej, za poemat treści religijnej. Zaniesiono nagrodę Jacquelinie w uroczystym pochodzie, przy odgłosie trąb i bębnów. Słynny poeta ówczesny Corneille, obecny przy tej uroczystości, zaimprowizował odę na cześć młodej poetki, gdzie wysławia jej tryumf i skromność.

Któż może powiedzieć, jak wysoko byłby się wzniósł pod kierunkiem Corneille'a ten umysł niezwykły? Ale sława i rozgłos przerażały Jacquelinę. Odwróciła swój wzrok od świata i jego uroków i myślała tylko o życiu przyszłem. Od tego czasu pisała tylko wiersze na chwałę Bożą i wkrótce wstąpiła do klasztoru Port-Royal pod Paryżem i tam w cichych murach zakonnych ukryła swą piękność i swe zdolności.

Senta.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austryi rocznie złr. **6.** — **W Prusach:** rocznie mar. **12.**

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Ogień ze słońca przez St. Kramsztyka. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Ryciny do art. Historya środków komunikacyi. — Testament dziwaka, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Siostra Pascala, z życia niezwykłych dzieci. — **Dodatek:** — Piosnka druciarza, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz (z ryc.) — Bohater Pawełka i Ewci (c. d.) — Wicher i promień słońca. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 19 Февраля 1900 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.